Krzysztof Masłoń, DoRzeczy, nr 39, 27.09-3.10.2021 r.

Tropiciele polskiego antysemityzmu wzięli pod lupę kanon lektur szkolnych

Literaturę polską, szczególnie tę, którą przywykliśmy uważać za klasyczną, należałoby - i to jak I najszybciej - oddać na przemiał.

Jej miejsce jest bowiem na śmietniku historii. Takie jest zdanie rewolucyjnych likwidatorów kultury (w dawnym rozumieniu tego słowa), tropicieli niepoprawności politycznych, gwiazd nowej humanistyki spod znaku Black Lives Matter czy, w naszej warunkach, raczej anty-PiS.

Ostatnio pod lupę lustratorów literackiego kanonu dostała się Zofia Kossak-Szczucka, której utwory, na czele z „Pożogą", znalazły się na liście lektur zaproponowanych przez Ministerstwo Edukacji i Nauld do użytku szkolnego, co wywołało oburzenie m.in. gwiazdora humanistyki nowego chowu, Adama Leszczyńskiego, autora głośnej nad wyraz „Ludowej historii Polski".

Nazwał on „Pożogę": „książką pełną antysemickich akcentów". Wraz z innymi osobistymi nieprzyjaciółmi Pana Boga z OKO.press przeczytał to dzieło, jak rozumiem, z zawodowego obowiązku. „Nasze dzieci - ubolewa - będą musiały to czytać".

Przypomnę tu, że w 1942 r. to autorka „Pożogi" właśnie doprowadziła do stworzenia Komisji Społecznej dla Ludności Żydowskiej, przekształconej następnie w Radę Pomocy Żydom „Żegota". Nie tylko uzasadniała konieczność tej pomocy, lecz także osobiście ratowała Żydów od śmierci, za co po wojnie została uhonorowana tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Uważała to za swój obowiązek jako Polki i katoliczki, choć podkreślała - cytuję jej sławny „Protest" - że nie przestaje „uważać ich [Żydów] za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski. Co więcej, zdajemy sobie sprawę, że nienawidzą nas oni więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęście".

OKO.press wsparło się autorytetem (?) socjologa Tomasza Żukowskiego nazywającego Zofię

Kossak „emblematycznym przypadkiem Sprawiedliwego - antysemity”.

Skoro tak, to tenże Żukowski jest „emblematycznym przypadkiem Niesprawiedliwego filosemity", choć to pewnie dla niego zbytek łaski. Ale skoro detektywistyczne OKO.press doszukało się w „Pożodze" fragmentów godzących w dobre imię narodu wybranego, to i ja ich poszukałem w tej książce, której pojawienie się na listach lektur szkolnych powinienem właściwie skwitować jednym słowem: Nareszcie!

PRZEKLEŃSTWO STAREGO RABINA

Z wypracowania Adama Leszczyńskiego podpisanego pod bredniami wymierzonymi w propozycje (!) zmian lektur dowiadujemy się, że Zofia Kossak w „Pożodze" „półgębkiem jedynie wspomina o pogromach, do których dochodziło wówczas na tych terenach - czy to z rąk ukraińskich czy polskich". No to poczytajmy sobie, jak pisarka przedstawiała to, co działo się na ukochanej przez nią ziemi wołyńskiej w rewolucyjnych latach 1917-1919, kiedy to panami stawali się tam a to bolszewicy, to znów Ukraińcy: „Komuniści szukali zajadle zbiegłych »pamieszczyków«, Petlurcy czynili to samo; pierwsi grabili sklepy, drudzy również. Rozbrojona banda zmieniła przekonania polityczne i w dawnym składzie weszła do armii petlurskiej pod nazwą »Kurenia śmierci«. W miejsce czerwonych kokard kureń otrzymał karawaniarskie czapki z długą czarną płachtą, oszytą srebrnym lampasem, zwieszającą się dziko na plecy. Kiedy pijani i wściekli rwali galopem przez miasto, czarne płachty czapek niosły się za nimi jak drapieżne stado kruków. Ów kureń stanowił załogę nieszczęsnego miasta, które nie mgło ani na chwilę odetchnąć spokojnie. Codziennie Żydzi znosili poważne sumy pieniężne jako okup za nierobienie pogromu. Suma przedstawiała zazwyczaj połowę tego, co kureń zażądał; następowały więc długie targi, po których dowódca kurenia wydawał delegacji żydowskiej kwit obiecujący bezpieczeństwo osobiste i spokój na tydzień lub 10 dni. Krótka była stąd radość, bo najdalej w dwa dni później czarne płachty leciały przez miasto, żądając nowych tysięcy albo grożąc rzezią. Znękani Żydzi padali komendantowi do nóg, klnąc się, że już oddali ostatnie zasoby, ale ostatecznie żądaną sumę składali. W ten sposób, biorąc jednorazowo po kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy, wyciągnięto z miasta około paru milionów. Niezależnie zaś od składanego okupu prawie każdej nocy rabowano większe sklepy albo bogatsze mieszkania żydowskie, prawie każdej nocy budziły dochodzące z ulicy strzały i wrzaski grabionych".

Jedni z nowych panów handlowali życiem i śmiercią, drudzy - nie. W 1919 r. - pisała Zofia Kossak - „zaczęły się sporadyczne pogromy wę wszystkich miasteczkach okolicznych: Lityniu, Kupielu, Ostropolu, Kuźminie i innych. Najcharakterystyczniejszy z nich, a zarazem największy co do liczby ofiar, był pogrom płoskirowski, który nastąpił w pierwszych dniach lutego. Dokonała go głównie miejscowa załoga petlurska, ale rozpoczął i zainicjował oddział siczowników galicyjskich, niedawno przybyłych do miasta. Ludzie zamieszkujący naówczas Płoskirów zaręczali mi, że straszna ta rzeź nie była niczym wywołana ni sprowokowana.

Po prostu, na chłodno, starannie oznaczono wprzód domy i mieszkania nieżydowskie, otoczono wojskiem miasto i przystąpiono do krwawego dzieła tak, jak się przystępuje do siewów lub żniwa. Grozę potęgował fakt, że przez cały czas pogromu nie padł ani jeden strzał. Wśród stosu ofiar, zalegających nazajutrz ulice, nie było ani jednego człowieka, który by zginął od kuli. Wszyscy zostali zarżnięci, zakłuci lub poćwiartowani żywcem. Systematycznie przechodząc wszystkie zaułki i domy, nie oszczędzano nikogo - od niemowląt do najstarszych.

Nieludzkie wycie napełniało miasto. Ludzie zmuszeni być świadkami tego mordu, bliscy byli obłędu. Daremnie skazańcy starali się przekupić żołnierzy, oddawali pieniądze, złoto. »Nam was treba, ne waszich hrosziw!« odpowiadali, nie zwracając nawet na prośby uwagi. Zabitych wyrzucano z okien na ulice, gdzie po kilku godzinach zebrały się istne materace z trupów. Leżały tam w grozie swej strasznej niedoli - matki ciężarne, z których wydarto wnętrzności, dziewczęta z odrąbanymi piersiami, starcy wyszczerzeni, okropni... Z balkonów zwieszały się wianki związane z dzieci maleńkich rozpłatanych bagnetami, powiązanych sznurem za główki żałośnie zwieszone.

Do stojącej w śródmieściu apteki polskiej wpadali co moment oficerowie kierujący rzezią. I wznosząc ze sobą mdły odór mordu, świeżych, ciepłych trzewi, ryczeli: »Dawat' duchi!«. Przynoszono więc miednicę i wlewano do niej wszystkie flakony perfum, wody kolońskiej itp., jakie były w składzie. Krwawi rycerze myli sobie twarze, ręce, posklejane od krwi włosy po czym, stokroć jeszcze bardziej potworni niż przedtem, wybiegali kończyć straszne swoje dzieło. Za nimi zostawały krwawe piętna po podłodze, naczynie pełne stygnącej krwi ludzkiej i powietrze napełnione dusznym zaduchem mordu i zbrodni, którego nie mogły zniweczyć wszystkie esencje kwiatowe razem wzięte. Za chwilę wpadali inni i tak do wieczora.

Był wtedy w Płoskirowie stary rabin, niezwykle stary i niezwykle podobno mądry. Najpierw zamęczono przy nim wszystkie jego dzieci, wnuki i prawnuki, na koniec posiekano go samego. Podobno przed śmiercią zakrzyknął: »Przeldęty, po trzykroć przeklęty miał być miesiąc Adar, ale mękę Izraela odemści Wej Adar«. Nie wiem, kto był świadkiem tego i kto to powtórzył, ale proroctwo rozeszło się szybko pomiędzy Żydami, którzy przykładali doń wielką wagę. Tegoż dnia jeszcze do Starokonstantynowa przybyli uciekinierzy, przywożąc szczegóły pogromu. Wyglądali jajt nieludzkie mary. Toteż w mieście zapanował niesłychany lament, który się zwiększał w miarę, jak przybywało nieszczęsnych. Żydzi odprawiali publiczne modlitwy, rozdzierali szaty, drapiąc paznokciami ziemię na starym cmentarzu, wyjąc, posypując głowy piaskiem i popiołem. Początkowo ilość ofiar podawano na 20 tysięcy, później, gdy listy imienne były już gotowe, została ona ustalona na siedem tysięcy. Przez długi czas pogrom płoskirowski był jednym tematem rozmów i myśli żydowskich. Obiecywano sprowadzić specjalną komisję ententy, zbierano na ten cel pieniądze. Naznaczony był już dzień, w którym rzeczona komisja

miała przybyć. Potem, nagle, zapewne na rozkaz polityki z góry, wszystkie te zamiary upadły. Przestano mówić o pogromie, wspominać umarłych. Czasem tylko Żydzi więcej znajomi przypominali proroctwo starego rabina i uśmiechali się przy tym zn&cząco. Komisja nie przyjechała”.

BRODACI, NIECHLUJNI, ŚMIESZNI

Tak na pewno nie mówi się „półgębkiem", natomiast zachodzę w głowę, co i dlaczego nie spodobało się Leszczyńskiemu (historykowi, socjologowi i antropologowi w jednym) w takim ustępie „Pożogi": „Trzeci korpusik okupywał Starokonstantynów. Zamiast rozmamłanych towariszczy snuli się sprężystym krokiem, dzwoniąc szablami, barwiąc się amarantem kołnierzy i czapek Żołnierze Polscy - nasi rodzeni żołnierze, nasze własne »chłopcy«. Ludność polska trwała w nieustającej, radosnej gorączce; Żydzi byli zmatowani i nie bardzo pewni; porządek panował wszędzie wzorowy. Wnet artyleria, która najgorzej stała z umundurowaniem, dostała nowe czapki ze świeżo zebranych składek. Śliczne czapki, brązowe z czarnym aksamitem, na które każdy z nas spoglądał ze słuszną dumą". Nie znajduję innej odpowiedzi ponad tę, że ozdoba współczesnej nauki polskiej do dumy tej nie poczuwa się wcale, a czy do polskości w ogóle - śmiem wątpić.

Solą w oku tropicieli antysemityzmu na kartach arcydzieł literatury polskiej są rozmaite „Żydzięta", „Żydki”, „Żydowiny". Trafimy na nie u Kossak, są i u Konopnickiej („Nasza szkapa”!), a nawet swego czasu ze zgrozą odkryto je w „Dziennikach" uchodzącej za postępową Marii Dąbrowskiej.

Rzekomy antysemityzm tej ostatniej mógł jednak kłuć w oczy jedynie obdarzonych słabą pamięcią czytelników albo niedouków. Nie mogli pogodzić się z tym, że w „Dziennikach" pisarka ujawniała prawdziwe nazwiska tych, którzy je zmienili, niekiedy w nawiasach dodawała (Żyd), a ktoś tam u niej był „Żydkiem". A niby inaczej pisali przed wojną np. Józef Mackiewicz czy sam Jerzy Giedroyc! Dąbrowska jednak popełniła w 1936 r. artykuł „Doroczny wstyd", biorąc w obronę studentów pochodzenia żydowskiego, którym fundowano getto ławkowe, a w czasie okupacji pomagała Żydom. To znaczy znacznie więcej niż wywodzące się z tradycji nieco lekceważące określenia ludzi nazywanych niegdyś starozakonnymi.

Obraz przedwojennej dzielnicy żydowskiej w Warszawie: Franciszkańskiej, Świętojerskiej, Gęsiej, Miłej, Nalewek i jej mieszkańców ukazał Stefan Żeromski w „Przedwiośniu": „Był tam nadmiar nędzarzy-łachmaniarzy, który zużywał ruchliwość przyrodzoną rasy żydowskiej na oszukiwanie się wzajemne, na pracowitą kłótnię o ochłapy jadła, o śledzie, o skrawki mięsa, a nic, literalnie nic nie czynił dla zarobku godziwego, stałego i dobrze płatnego w fabrykach i

warsztatach. Wielu, oczywiście, pracowało w tych ulicach nad siły jako tragarze, woźnice, pomocnicy, subiekci, i ci mieli nawet zewnętrzny wyraz inny, normalny, ludzki. Przeciętny jednak typ - to była karykatura ludzkiej postaci. Zgarbieni, pokrzywieni, obrośli, brodaci, niechlujni, śmieszni bezgranicznie w swych płytkich czapeczkach i długich, brudnych chałatach do pięt, wałęsali się i zalewali ulice, brodzili, wchodzili i wychodzili, gadali, kłócili się, nic właściwie nie robiąc. Cezary przyszedł do przeświadczenia ogólnego, iż Żydzi zamieszkujący dzielnicę, w której mu przebywać wypadło, są zbiorowiskiem ruchliwych i gadatliwych próżniaków".

To naprawdę zdumiewające, że „Przedwiośnie" przetrwało jako lektura, i to obowiązkowa, przez lata PRL i ćwierćwiecze Polski wolnej, jednak nie od ścigania najcięższej zbrodni, czyli antysemityzmu - prawdziwego i rzekomego.

Gdyby w bliżej nieokreślonej, acz wiele wskazuje na to, że nieodległej przyszłości miało dojść do rzeczywiście rewolucyjnych zmian w szkolnej nauce języka polskiego i literatury polskiej, to z pewnością poza „Przedwiośniem" poległaby i „Wierna rzeka" tegoż Żeromskiego. No bo jak panna Brynicka mogła opowiadać o tym, że w odległej o ćwierć wiorsty od dworu karczmie „siedzą Żydy. Dawniej brali wódkę, ż niezdolskiego dworu, jak gorzelnia szła. Teraz ją biorą skądinąd, a trudnią się, czym można, a głównie przemycaniem w dalekie strony kradzionych koni. [...] Jest ich tam dużo, tych Żydów w karczmie. Ale między nimi jest jedno Żydzię, ma chyba ze czternaście czy piętnaście lat. Na imię temu Ryfka. Warto zobaczyć przy świetle dziennym to czupiradło. Nie myła się już ze cztery lata, włosy w strąkach, obdarte, brudne".

PO ANGIELSKU, NIE PO POLSKU

Ale co tam Żeromski! Jedynie na śmietnik historii i literatury nadają się nasi dawni nobliści - Reymont i Sienkiewicz, o Prusie nawet nie ma co mówić, Konopnicka - won, a i z Mickiewiczem nie ma co się cackać. Mamił tylko czytelników publicystycznym „Składem zasad" i koncertem Jankiela w „Panu Tadeuszu", a przecież w tej samej epopei Zosia krzyczy: „Sędziego objąwszy rękami / Jako dziecko od Żydów kłute igiełkami".

A po co kłute? Na macę, na żydowską macę!

A co z „Noclegiem", nieprzypadkowo pod korcem chowanym przez miłośników poezji antysemity z Nowogródka, w którym to wierszu powstańczym powieszony na drzewie szpieg żydowski „pejsami zamiata po ziemi".

Nie ma przebacz!

Prawem kaduka za najwybitniejszą powieść literatury polskiej od lat uchodzi skrajnie antysemicka „Lalka". Z Henrysiem Szlangbaumem, rzekomym socjalistą Kleinem („my wiemy, do czego oni są zdolni, gdyby mieli siłę"), subiektem Lisieckim („tu niedługo zostaną tylko Żydzi, a reszta zżydzieje"), a i udającym poczciwca Rzeckim („u nich wszystko stoi na bladze, szacherce i tandecie").

Cała publicystyka pana Głowackiego, który przezwał się Prusem, przesiąknięta jest niechęcią do Żydów, ale mniejsza o nią. Gorzej, że i w jego „Faraonie" Fenicjanie mówią językiem z Nalewek.

Opracował: Rami Abramowicz - Hajfa, Izrael